

Wł. Reymont — „pan na Kołaczkowie“

Jak Kołaczkowo, majątek Reymonta, wspomina twórcę „Chłopów“

W ostatnim numerze sympatycznych „Wici Wielkopolskich“, ukazał się artykuł B. W. Zakrzewskiego „Ze wspomnień kołaczkowskich o Reymonie“. Kołaczkowo, to wioska w powiecie wrzesińskim, a zarazem majątek, który kupił Reymont i w którym spędził ostatki życia. Kupił Kołaczkowo zapóźno, nie mógł się już niemi naćwiczyć tak, jakby chciał — nie zdążył porobić zmian, nie urządził wstąpił projektów.

B. W. Zakrzewski odwiedził dawny majątek Reymonta. Obecnie jest on własnością p. Juraszów, ale pełno tam jeszcze wspomnień o Reymonie. Pamięta go dwór, pamięta służba, pamięta wieś, a i dzisiejsi właściciele Kołaczkowa żyli w bliskich stosunkach z Reymontem.

Do dworu w Kołaczkowie prowadzi żwirowa aleja, idąca poprzecz ogrod. Wchodzi się na nią żelazną bramką ogrodową. Dwór jest piętrowy, zdaleka — koloru kremowego, „włoskiej mody“, otaczają go olbrzymie, stare drzewa.

„Znając już dawniej właściciela tego majątku — pisze p. Zakrzewski — postanowiłem od niej dowiedzieć się czegoś o Reymonie, o jego pracy, na tle stosunków wiejskich“.

Z głębi pokoju grubo zaszelekał piersi. Początkowo onieśmielony wtargnięciem w atmosferę intymnego popołudnia, zakłopotany licznym zbiorowiskiem ludzi, nie wiedziałem o czym mówić.

— Więc pan chce wiedzieć coś o Reymonie — zagadnęła pani domu.

Wyspa szczęśliwości

— Tak.

— My o nim tu mało wiemy. Ku pilniemu majątek w rok po jego śmierci od p. Reymontowej. Mąż mój, sam leczył Reymonta w „Przemienieniu“ — opowiada p. Juraszowa — ale już było zapóźno. Chorował na serce, męczyła go nieustanna praca pisarska tak, że w ostatnich tygodniach podtrzymywany był tylko sztucznymi środkami. Kiedyś jeszcze, w pierwszych latach, wybrałem się z mężem do Reymontów, z pierwszą wizytą. Nie zastaliśmy ich w domu. Dwór cały był pusty, tylko w tej willi — wskazała przez okno, gdzie za tujami i kragłym trawnikiem bielili się piętrowa oficyna — w tej willi było wesoło i gwarno. Tam bawił cały sztab Reymonta, artyści, malarze, poeci, pisarze, z Kornelem Makuszyńskim na czele. Na lato zjeżdżali z Warszawy tłumnie i zawsze ich było pełno. Reymont zapraszał wszystkich swych warszawskich kolegów do Kołaczkowa, na tę „wyspę szczęśliwości“ i z dumą pokazywał swoje gospodarstwo.

— A czy spotkała jeszcze pani Reymonta w Kołaczkowie?

— Nie. Widziałam go w Poznaniu i u rodziców, ale już wtedy był bardzo słaby. Zresztą najwcześniej wiaomości o nim dostarczyłby sam Makuszyński; przebywał tu najczęściej. Widzi pan: Reymont, gdy zakupił Kołaczkowo, był jeszcze dosyć zdrowy. Miał ty-

le projektów na przyszłość. Wpierw odrestaurował mieszkanie, założył piękny sad owocowy, chciał budować dla ludzi domy nowe, zajmował się gospodarstwem, chodził do stajni, obór... Widocznie przejął się bardzo tą nową upragnioną rolą gospodarza. Potem wyczerpała go choroba, no, i wydzierżawił majątek.

Reymont i chłopci

— A jaki był jego stosunek do... no, mówmy poprostu, do chłopów — przerwałem.

— Żaden. On lubił ich na dytans, nawet porozmawiał chętnie, ale nigdy się nie spoufałał. Wyjątkiem może był jego stangret. Podobno miał mu Reymont czytać niektóre fragmenty swych utworów, prowadził z nim długie rozmowy, a wreszcie podarował mu resztówkę, małe gospodarstwo. Ten stangret mieszka obok, Rolewicz się nazywa; może się pan od niego coś więcej dowie. Chociaż to jest taki człowiek... jemu nie można zupełnie wierzyć“.

Po malej dygresji o stosunku Reymonta do szkoły powszechnej w Kołaczkowie, znowu wraca się do tematu: jak Reymont patrzył na swych chłopów i jak oni odnosili się do niego?

— Czy ludzie ze wsi wogóle czytają książki Reymonta?

— Niektóre, jak pan wie, są za trudne dla nich. „Chłopów“ też pewno żaden z nich nie czytał. Oni wogóle nie przyznają się do tej książki. Przyjdzie ktoś ze wsi pożyczyć książkę, to stawia warunek, że musi być o „bogactwach ludzkości“, o rodzie książkowym, o jego tragediach — bo kryminalnych nie mam.

— Czyli Reymont...

— Tak, pozostał dla inteligencji...

Pokój Reymonta

— A może chce pan zobaczyć jego pokój, w którym pisał? Na la-

to przeprowadzany remont w całym mieszkaniu, dlatego taki nieład. Przez amfiladę sal, wśród mebli obciążonych pokrowcami, weszliśmy do słonecznego pokoju. Tu stało biurko Reymonta, tu pisał po nocach długich nieustrudnie i tu tylekroć spoglądał na swój wspaniały, stary park, na klomby, kwietniki i zacienione ścieżki. Przez hall zagracony wstąpił na frontowy taras, ogrodzony szeregiem wyniosłych kolumn. W tej chwili, otoczone rusztowaniami, podlegały jakimś ponownemu otknowaniu. Z góry, tylną mąką różową sypał się na posadzkę kamienną. — Te filary szczególnie imponowały Reymontowi. On je wielbił, zachwycał się ich wielkością, smukłością i powagą sily. Z pewną dumą i zaszczycem wskazywał je każdemu z nowoprzyjeżdżających gości: — „To są te moje filary“. Mówił to z takim wewnętrznym zadowoleniem, z taką radością w schorowanej duszy, rozgrabiając nerwowo palcami włosy — jak prawdziwy gospodarz, pan na Kołaczkowie“.

W srodzie

— W trakcie ożywionej rozmowy — opowiada dalej Zakrzewski — o swej wizycie w Kołaczkowie — zeszliśmy do parku. Był wielki, stary, tu słoneczny, tam mroczny. Od strony dworu rzędy drzewa, a srebrzyły się tylko platynowe świerki, przepieczone soczystą zielenią stożkowatych tui.

Drugi mniejszy taras, oparkiony i obrosły splatami dzikiego wina, klomby kształtne, ścieżki wrzynające się tunelem w gęstą siatkę bezlistnych drzew...

Na lewo, w sturzedach, doskonale perspektywicznych, stał młody sad. Pnie zwapnione, czyste, pokrywały się rzędami. Obok w szparach tiulowych, chyliły się brzozy, jak baldachimy kopuliste, nad darniowymi ławeczkami, gęsto rozsiadanymi w ocienionych ni-

szach“.

Stary stangret Reymonta

Ostatnią rozmowę w Kołaczkowie przeprowadził autor artykułu w „Wiciach“ z dawnym stangretem Reymonta, grubym, czestym gospodarzem:

— Nasz dziedzic dobry był to człowiek — mówi Rolewicz. — Ho! ho! Ale chorowity taki i jeszcze go ten dochtór dobił. — Który? — spytałem. Wskazał na dwór. — Ale! — Byłem u niego w szpitalu, jak chorował... — No, i co? — Pytał się o wieś, o ludzi.

— Lubiliście go? — Dobry był, pogadał z każdym, zapytał, gawędził. Szkoda, że chory. Mówił, że tu wszystko elegancko pobuduje, wymaluje, sproszi nas na herbatkę do dworu, coś nie coś przeczyta wieczorami.

— Wyście byli u Reymonta od początku? — No tak. Jaki tu był nieporządek! We dworze wojsko niemieckie miało siano, owies, mysy pogryzły podłogi. I najpierw swój dach musiał naprawić. Jeździliśmy też po okolicy, często do Miłosławia, gniadami konikami. Lubili jeździć na przechadzki. Do pana naszego spoczątku często zjeżdżali dziedzice, ale po tem widzieli, że z nami trzymają, więc się nie pokazywali. Na końcu, jak był już mocno chory, to jeno pił czarną kawę, a ciągle pisał, pisał. Po nocach, jego okno zawsze się świeciło. Powiadają, że jego książki to czytają w Anglii, Francji, ale czy to prawda, to nie wiem. Ja też ich nie czytałem, bo zauczone. Ale, dostał on jeszcze za jedną książkę jakąś nagrodę Nobla z Kołaczkowa.

— Więc Kołaczkowo mu ją dało?

— Tego to nie wiem dokumentnie, bo nikt pieniędzy nie zbierał. I ten doktor chce mu wystawić pośmię przed pałacem, ale to jeszcze nie wiada kiedy zacząć“.

Z nauki i sztuki

Literatura

— Akademia czeka na pięciu nowych „nieśmiertelnych“. Ostatnio dotknęły Francję zgonu najwybitniejszych jej polityków. Jest to również żaloba dla Akademii Francuskiej, której członkami byli i R. Poincaré i L. Barthou. W tej chwili w Akademii opróżniło się pięć foteli, a mianowicie oprócz wyżej wspomnianych, jeszcze fotel ks. H. Bremond, C. Julien'a i marszałka Lyauteya.

Wśród kandydatów na opróżnione miejsca Akademii Nieśmiertelnych wymieniali: Ludw. Gillet, Józef Duhamel oraz marsz. Franchet d'Espèray na fotel zmarłego marsz. Lyauteya. Miejsce Poincarégo ma zająć premier Doumergue. Kto będzie następcą Barthou w Akademii — jeszcze nie wiadomo. Zdaje się, że z wyżej wymienionych kandydatów, Doumergue i marsz. Franchet d'Espèray mają wybór zapewniony. Zapewne nikt przeciw nim nie zechce przyjąć kontrkandydaty.

— Odczyt o Polskiej Akademii Literatury. Celem zapoznania korespondentów prasy zagranicznej w-

Polsce z celami i rolą Polskiej Akademii Literatury, Tow. Szerzenia Sztuki Polskiej Wśród Obcych urządziło wczoraj w salonie hotelu Europejskiego zebranie, na którym sekretarz generalny P. A. L., Juliusz Kidon-Bandrowski, wygłosił odczyt o Polskiej Akademii Literatury. Zebranie odczytowo zajął prezes Tow. Szerzenia Sztuki Polskiej Wśród Obcych sen. Targowski. Prelegent omówił dzieje powstania Akademii, przedstawił cele i zadania tej instytucji, jej skład obecny, program prac obecnych i zamierzonych na przyszłość. Po odczycie prelegent udzielił dodatkowych wyjaśnień w odpowiedzi na zapytania. (PAT).

Teatr

— Sztuka J. Makarczyka w Sofji. Teatr „Komedia“ w Sofji gra od tygodnia sztukę Janusza Makarczyka „Harun al Raszyd“, o której krytycy bułgarscy wyrażają się dodatnio.

— Przed zimowym sezonem teatralnym w Paryżu. Zimowy sezon teatralny w Paryżu zapowiada się bardzo ruchliwie. Duże zmiany na-

stąpią na stanowiskach kierowniczych: Louis Jouvet, który kierował teatrem Comédie des Champs Elysées, objął dyrekcję teatru Albiné. Małżeństwo Pitoëff roztapia się z teatrem Vieux Colombier; dotychczas niewiadomo, w jakim teatrze będą oni występować w bieżącym sezonie. Słynny Sascha Guitry powraca do teatru de la Madeleine. Cécile Sorel, po występach na czele programu rewiowego w Casino de Paris, powraca znowu do klasycznego repertuaru i wystąpi w „Sapho“.

Sezon zimowy przygotowuje wiele niespodzianek i sensacji, z których jedną będzie występ słynnej gwiazdy filmowej Annabelli w sztuce Szekspira „Jak wam się podoba“. Charles Boyer, odwołany głownie roli w filmie „La Bataille“, również wystąpi w jednym z teatrów paryskich.

Jacques Copeau, założyciel teatru Vieux Colombier, powraca po dłuższej przerwie, aby stanąć na czele teatru Atelier. Dyrekcje artystyczną teatru „Ambassadeurs“ obejmie Marie Bell, której występuje z premierą „Miss Ba“.

tujemy pejzaż p. t. „Domki“, przez ściowy, ku pozostałej większości obrazów, już o ustalonym, jednolitym typie.

Ta właśnie praca — moim zdaniem — wykazuje najwłaściwsze podejście do odtwarzania tematu. Przy pewnej, miejscami, monotoni są tu jednak ambicje zestawień kolorystycznych, dość jasno określone; pryzem udatne, w niektórych partjach, różnicowanie faktury. Całość, a charakterze zdecydowanie dekoracyjnym — niepozbawiona wyrazu.

W następnych pejzażach Wilkanowicz zmienia gruntownie technikę i wszystkie właściwości tych płócien z nią się ściśle wiąże. Farba leży grubo na powierzchni obrazu, gruzłami swej masy, czyniąc ją podobną nawierzchni chropawego muru. Taka technika sprzyja naogół kolorystyce, wzmacnia jej efekty, dzięki migotliwości oddzielnych plamek różnej barwy, które splatają się ze sobą, kryjąc częściowo, przenikają, nawzajem. Podobną techniką niejedną czasem maskuje ubóstwo swych koncepcji kolorystycznych, siekaną

rożnokolorowych grudek farby starając odwrócić uwagę od pustki, którą one usiłują skryć. Jest to zwyczajne mechaniczne rozdrabnianie dużej i nudnej nieraz plamy barwnej na mniejsze cząsteczki. Ale taki fortel, nie na długo potrafi zmilczyć.

Tu, u Wilkanowicza, nie mamy do czynienia z czemś podobnym; przeciwnie: można się skarżyć raczej na rozgardzającą barwny. Wszystkie kolory mówią jednocześnie (brak ich hierarchii) tak, że w ogólnym halasie trudno nieraz zrozumieć, o co właściwie chodzi? Niema nawet jaskrawości, tylko brak dyscypliny. Często obserwujemy zbyt już ryzykancą beztroskę w posługiwaniu się barwą. Z młodzieńczą odwagą kropi nieraz Wilkanowicz takie kolory, nad którego położeniem, w tem właśnie miejscu, powinno się bardzo, ale to bardzo, zastanowić. Przydałaby się większa przejrzystość myśli kolorystycznej.

No, ale to są dopiero początki — zobaczymy, co będzie dalej.

Wiktor Podolski.

Dodatkowy dzień Odbioru drzeworytów

W piątek od g. 6-ej do 8-ej wiecz.

Przypominamy tym subskrybentom warszawskim, którzy dotychczas nie odebrali jeszcze zamówionych kuponami drzeworytów, że jutro, w piątek, od g. 6-ej do 8-ej wiecz. w lokalu redakcji ABC (ul. Nowy Świat 22) wyznaczaliśmy dodatkowy i bezwzględnie ostatni dzień odbioru drzeworytów.

Kto w tym terminie drzeworytów nie odbierze, narazi się na koszt przesłania mu drzeworytów do domu za zaliczeniem pocztowym, albo też — jeśli drzeworytów zabraknie — straci okazję nabycia ich po wyjątkowo niskiej cenie. W dniu bowiem jutrzejszym pozostałe i nieodebrane drzeworyty, będą mogli nabywać po cenach subskrypcyjnych ci spośród naszych czytelników, którzy zgłosili się po zamknięciu subskrypcji i oczekiwali, czy

pewna ilość drzeworytów nie zostanie.

Drzeworyt Mrożewskiego przyszedł

Wczoraj w godzinach wieczornych nadeszły do redakcji niecierpliwie oczekiwane odbitki drzeworytu Mrożewskiego „Madonna“. Subskrybenci warszawscy mogą odebrać drzeworyt Mrożewskiego jutro, w piątek, od g. 6-ej do 8-ej wiecz., subskrybentom pozawarszawskim wysyłamy drzeworyt Mrożewskiego razem z innymi zamówionymi drzeworytami.

Wysyłkę drzeworytów na prowincję rozpoczynamy dzisiaj. Ze względu na znaczną ilość zamówień przygotowanie wysyłki potrwa kilka dni — w każdym jednak razie do połowy przyszłego tygodnia wszyscy subskrybenci prowincjonalni powinni już drzeworyty otrzymać.

Jak bawi się Publiczność paryska w kinie

Świetny krytyk filmowy, Jean Fayard, opisuje na łamach „Candide'a“ zabawną reakcję publiczności paryskiej na film „Karawana“, made in Hollywood z aktorami francuskimi: Charles Boyer i Annabellą.

Było to w niedzielę wieczorem. Film „Karawana“ rozpoczął się bez incydentów i grzeczny tłum oczekiwał spokojnie dalszego ciągu. Niestety! Absurdy następowały po absurdach, kilka gwizdów, nieśmiały zraz, lecz potem coraz soczystszych rozległo się na sali, aż wreszcie dowcipni się jeli odpowiadać osobom z ekranu.

Było to wspaniałe. Nieczem wieczór bokserki w cyrku lub przedstawienia w małym prowincjonalnym teatrze. Gdy cygan z obrazka zawałzał zezoszczonym głosem: „Jestem b. niezadowolony“, dowcipniś odpowiedział: „A my jesteśmy rozezadowani!“ Słabo się to sygnalem dla powszechnej wesołości. Zaprawde, dzięki debelwolnemu udziałowi pełnej werwy publiczności, rzecz udała się doskonale.

Przybył jednak jeszcze nowy czynnik rozrywki: interwencja

widza zadowolonego.

Ten zaznaczył swą obecność rzesistym oklaskiem, aby zgłuszyć gwizdy. Skoro już ręce odmówiły mu posłuszeństwa, zwrócił się do awanturników, zarzucając ich stękiem brzydko brzmiących nazw:

— Kretyni!... zatruwacie mi piękny wieczór! Pokazywać takie filmy podobnym łazikom, to podawać konfitury wieprzom!

Wyobrażacie sobie, jaki sukces osiągnął ów jegomosić! Wszyscy bili mu brawo. A on, wściekły, czerwony zapewne, podrygując w ciemności z oburzenia długim wosem, znow zaczął wymyślać! To był piękny seans! Nagle, przed końcem filmu, jegomosić podniósł się i skierował do wyjścia:

— Jakże? zawołało dziesięć uszczepionych głosów, myśleliśmy, że się panu podoba!... A pan odchodzi?

Cień odpowiadał głosem mówcy wiecowego:

— Skądże, wcale nie mam dośryć! Widziałem ten film dwa razy.

Teraz wszystkich ogarnął wprost szal. Nieznajomi zaczęli się całować. Cóż za piękny wieczór!

Wspomnienia H. G. Wellsa o Józefie Conradzie

Londyński „Daily Herald“ drukuje obecnie pamiętniki słynnego angielskiego powieściopisarza, H. G. Wellsa. Wells ma za sobą interesującą i dosyć niezwykłą przeszłość, przyczem trudnoby chyba znaleźć jakiegoś wybitniejszego Anglika, z którymby Wellsa nie łączyl przynajmniej stosunek towarzyski, jeśli już nie zażyła znajomość. Wśród galerii współczesnych, o których Wells wspomina w swoich pamiętnikach, nie brak też Józefa Conrada - Korzeniowskiego. Oto, co Wells pisze o autorze „Zwycięstwa“.

Wkrótce po ukazaniu się pierwszych książek Conrada p. t. „Fantazja Almayera“ Wells ogłosił obszerną krytykę w „Saturday Review“. Conrad odwiedził autora recenzji. O tem pierwszym spotkaniu Wells opowiada w następujący sposób.

„Zrobił to mnie dziwne wrażenie. Był to człowiek wysokiego wzrostu, dosyć tegi, trzymający głowę jakby schowaną w ramionach, człowiek o dużych ciemnych oczach, nieco niespokojnych. Nośił spiczastą brodkę. Ruchy miał nerwowe, bardzo żywe. Mówił po angielsku wprawdzie płynnie, ale posługiwał się często słowami francuskimi, zwłaszcza gdy rozmowa schodziła na tory literackie i wymagała trudniejszych wyrażen. Conrad dziwnie wymawiał angielskie słowa — miał skłonność do przeciągania końcowych sylab, mniej więcej tak, jak to robią Francuzi“.

Pierwsza rozmowa z Korzeniowskim została Wellsowi głęboko w pamięci, gdyż Wells począł uważać Conrada za człowieka o wielkich, niemal genialnych zdolnościach. Jedyne, co Wellsa raziło, to żywość i apodyktyczność

Korzeniowskiego w wyrażaniu swego zdania.

Po tej pierwszej wizycie Conrad dość często zjawiał się w miejskim domu Wellsa w Sandgate. Przyjeżdżał wózkami; zaprzężonym w małego kuca angielskiego, sam powożąc, i przywoził wtedy ze sobą żonę i synka.

Długie rozmowy na tematy literackie wyrobiły w Wellsie przekonanie, że mimo wszystko, nie wydaje się on Conradowi sympatyczny. Raziły Conrada jak przypuszczał jego proste poglądy, które nie mogły być pociągające dla człowieka o tak skomplikowanej psychice, jak Conrad i mającego tak silną skłonność do głębokiego, a zarazem tragicznego ujmowania zagadnień.

Pewnego razu Conrad spotkał się w domu Wellsa z Bernardem Shawem. Shaw już wtedy miał sławę człowieka złośliwego i kosztownego. Zwrócił się on do Conrada w ten sposób:

— Drogi panie, pańskie książki nigdy nie będą miały powodzenia — i zaczął mu tłumaczyć powody, dla których jest tego zdania.

Gdy wkrótce Wells z Conradem znaleźli się sami w ogrodzie, Conrad spytał zdenerwowany:

— Czy ten człowiek chciał mnie obrazić?

— Ach, nie, to tylko był taki żart z jego strony. Shaw ma humor bardzo szczególny... Z całego ustępu pamiętników Wellsa mówiącego o Conradzie, przebija wrażenie, że Wells, choć wiedział, że Conrad zupełnie żył się z Anglią i pisał jedynie po angielsku — czuł w Conradzie człowieka jakby obcego, o zupełnie innym pochodzeniu i innej kulturze.

Z plastyki

Wystawa W Ilkanowicza u Garlińskiego

Piszę o Włodzimierzu Wilkanowiczu, gdyż obecna jego wystawa u Garlińskiego jest, zdaje się, debiutem, więc wypada zaprezentować go publiczności. W przedmowie do katalogu, p. t. Zdz. Kępińskiego, zaznaczono, iż artysta jest samoukiem, czego — sądząc po obrazach — trudno się domyślić.

Z faktem chętnego podkreślania swego samouctwa, spotykamy się, wśród artystów wystawiających u Garlińskiego, nie po raz pierwszy. Te okoliczności byłyby ważne wtenczas, gdyby taki odmienny stan rzeczy wpływał w jakimkolwiek stopniu na rodzaj twórczości. Ponieważ jednak tak nie jest, niewiele nas obchodzi, czy artysta się uczył, czy nie, jak długo, i ile, ewentualnie, płacił za naukę. Jeśli w dzisiejszych czasach spotykamy się ze szczerem, samorodnym i oryginalnym prymitywem, zainteresujemy się oczy-

wiście, w jakich warunkach ten prymityw powstał i dzięki czemu się uchował, bo to może doprowadzi nas do rozważań nad celowością współczesnych metod nauczania, wogóle.

Lecz, jeżeli kropisz pan obrazy, w tym samym typie, co inni, jeżeli w nich nie odbiegasz od ogólnego szablonu, to już lepiej nie wspominać o samouctwie. Owszem skoro się już wlało między wrony, trzeba się uczyć, uczyć jaknajwięcej, mniejsza z tem, czy prywatnie, czy w szkole, czy poprostu, oglądając cudze dobre rzeczy.

I pan Wilkanowicz, choć nas kokietają jego samouctwem, użył się również. Najpierw zapewne u „Łukaszowców“ i to u Janusza Podolskiego, bo dwa obrazy malarza: pejzaż i głowa, wyglądają mi na prace, powstałe w bardzo bliskim sąsiedztwie poglądów tego artysty. Następnie no-